

# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## Nowy Rok.

A gdzieś ty się nowy roku,  
Gdzieś się nam urodził?  
Czy na niebie, na obłoku,  
Czyś po ziemi chodził?  
Czy ci braćmi wielkie pany?  
Czy wielcy królowie?  
Czy w siermiegę lud odziany,  
Biedni pastuszkowie?  
Powiedz-że nam roku nowy

\* \* \*

Z kim tu będziesz drużył?  
Komu przyjaznemi słowy  
Będziesz szczęście wróżył?  
Przyszli króle i panowie,  
Przyszeli lud wioskowy,  
Każdy pyta, co nam powie,  
Młody roczek nowy?  
Ejże roku, powiedz śmiało,  
Prawdę wróż nam z nieba,

Co się w dniach twych będzie działo,  
Co nam robić trzeba?  
Na niebiosach gwiazdka świta  
I z nieba się śmieje,  
Wita, że nas rok ten - wita,  
I wróży nadzieje?  
A kto idzie z silną wolą,  
Że go praca zbawi,  
Niech mu za to jasną dołą,

Pan Bóg błogosławi.  
Kto pracuje, niech pracuje,  
W obowiązku imię,  
Niechaj orze, pisze, kuje,  
I duchem nie drzemie  
Niechaj z wiarą, z dobrą wolą  
Pomaga kto może,  
A szczęsną mu za to dołą  
Pobłogosław Boże!



## Jubileusz Adama Pługa.

W lipcu roku zeszłego, pisaliśmy w Wieczorach, że w grudniu przypada obchód pięćdziesięcioletniej działalności literackiej Adama Pługa (A. Pietkiewicza) dając zarazem portret jego wraz z życiorysem. Obecnie więc donosimy o odbytym już obchodzie tego jubileuszu.

Śliczna i rzadka ta uroczystość miała miejsce dnia 19 z. m. w redakcyi Kuryera Warszawskiego, w wieńcu przystrojonym lokalu, zebrało się więcej niż dwieście osób ażeby uczcić jubilata. Można powiedzieć, że był tu kwiat inteligencji, zebrał się i siwowłosi starcy, dawni towarzysze pracy i ludzie różnego wieku, nie wyjmując młodzieży, a wszystkich jednocześnie uczucie czci i miłości, zarówno dla autora jak człowieka, co przez pół wieku umiał trafić do przekonania wszystkim zarówno ludziom dobrej woli. Kto jest Pług wiecie dobrze, bo nieraz zapewne słyszeliście o nim a może i czytaliście jego piękne wiersze.

W głównej sali redakcyi zawieszono portret jubilata, owinięty laurem dobrze zasłużonemu całemu życiu pracy oddanej na posługę bliźnim, pod niem ustawiono fotel, z boku stolik, na którym stała piękna szkatułka pełna fotografii i jakaś książka czy teka. Czyżby to miały być dary dla jubilata? Z pozoru sądząc, dary bardzo ubogie. Jednakże zebrań nie zdają się tego spostrzegać.

Wszyscy panowie i panie w balowych strojach, oczekują z tem ożywieniem jakie widać zawsze w towarzystwie połączonem wspólną myślą i celem. Nagle robi się ruch wśród tłumu, salę całą przebiega szmer, wszyscy zwracają się do głównego wejścia, panowie tworzą szpaler pomiędzy drzwiami wchodowymi a fotelem dla jubilata, a publiczność ciśnie się ażeby go zobaczyć. Ukazuje się on wreszcie w towarzystwie Tadeusza Korzona i Jana Karłowicza, którym przypadł miły obowiązek wprowadzenia przyjaciela na przygotowaną uroczystość.

W jednej chwili odzywa się przeciągły oklask a nad nim góruje chór lutnistów śpiewający z całej duszy powitalną pieśń, kończącą się wyrazami: „Niech nam żyje! Niech nam żyje!”

Niech nam żyje w jak najdłuższe lata, powtarzał każdy z głębi serca. Niech nam żyje dla dobra bliźnich.

Jubilat nie miał czasu ochłonać z wrażenia, jakie podobne powitanie zrobić musiało, gdy powstał pan Kłobukowski, radca Towarzystwa Kredytowego i w krótkich a pełnych uczucia słowach wypowiedział zasługi człowieka, który przez całe pół wieku, pozbawiony bliższej rodziny, wszystko co posiadał rozdawał z wspaniałomyślnością prawdziwie magnacką, bo rozdawał potrzebującym z zapomnieniem o sobie, co stanowiło zawsze najwyższą rozkosz Pługa.

To też wielbiciele jego pamiętając o tem, zebrał pomiędzy sobą sumę 1500 rs. i ofiarowali mu do rozporządzenia na jakiś dobry uczynek, a Pług sumę tę przeznaczył zaraz na kasę wsparcia ubogich literatów, instytucyi, na której czele stoi.

Po panu Kłobukowskim przemawiało wielu innych, składali cześć poecie, powieściopisarzowi, dziennikarzowi; kobiety autorki przez jedną z przedstawicielek swoich dziękowały mu za życzliwość jaką im zawsze okazywał, a wreszcie wieloletni przeciwnicy pokonani jego niezmierną dobrocią uznali się głośno zwyciężonymi.

Był to niezawodnie największy tryumf i serdeczna a niespodziana radość dla jubilata, gdy usłyszał z ust swego przeciwnika słowa: Zwyciężyłeś sercem! i mógł uścisnąć jak brata tego, co je wypowiedział. Była też to podniosła chwila, którą zapamiętają zapewne wszyscy uczestnicy zebrań a zarazem i praktyczna nauka najwyższych prawd życia. Zapewne nie przejdzie ona bez echa, bo piękne czyny pobu-

dżają do naśladowania, a każdy pragnąłby pokonać w taki sposób swoich przeciwników. Ale ażeby spełnić cud taki, trzeba posiadać takie chrześcijańskie cnoty, jak Pług, mieć za sobą takie nieskalane życie i jak on nigdy czynem nie przენiewierzyć się zasadom.

Starajmy się go naśladować.

## CIEPŁA KOŁDERKA.

Podróżując po różnych krajach, od północy ku południowi, widujemy nie tylko różnej budowy doły, inaczej urządzone miasta, ludzi o wyrazie twarzy odmiennym, całkiem różne ich obyczaje, ale co najczęściej w oko wpada — bardzo różniące się od siebie ich ubiory. W zimie Eskimos zaszyty jest cały w skóry kosmate, chłop rosyjski nie wychodzi w pole bez wielkich wołokowych butów (wałenków) za kolana, wdziewanych na wierzch butów skórzanych i bezfutrzanym rękawic; my przywdziewamy lekkie rękawiczki, przystępne i panienki ubierają się nawet niekiedy w sukienki; Francuzi wymyślili podszyte wiatrem rotandy i pebrynki, futrzane wprawdzie, ale nie przylegające do ciała, które mało grzeją; Włoch nie używa nic, prócz opończy lub kdistego a cienkiego płaszcza (almaviva), którym drapuje się czyli owija malowniczo; wreszcie Arabowie poprzestają na zupełnie lekkim burnusie.

Toż samo mniej więcej zauważyliśmy i u zwierząt, od białego niedźwiedzia, zamkniętego w ogromnej puszystej szubie, aż do gazelli, krótkim i rzadkim włosiem pokrytej.

Te ubiory, jak w ogóle wszystko, co czyni przyroda, a naśladując ją — człowiek, są wynikiem warunków otaczającego świata. Ciepło i zimno, susza i wielka wilgoć, spokój powietrza i burzliwe wiatry, domagają się urządzeń różnych, różnym też potrzebom zadośćczyniących.

Obyczaje każdego ludu, jego sposób życia, jego urządzenie, jego wreszcie zbiorowy charakter, są rezultatem odmiennego oddziaływania nań tak otaczającej przyrody, jak i innych warunków, w których lud ten musiał żyć i rozwijać się, do których musiał przywyknąć i do nich się w zupełności zastosować. Inaczej, prędzej lub później przestaliby istnieć.

Cudowna Opatrzność Boga, która, jak słicznie Chrystus Pan powiedział, czuwa nad ptakami niebieskimi i przyodziewa polne lilie, pomyślała też i nad zabezpieczeniem roślin od srogości zimy. Gdzie ta straszna lodowa pania władania swego nie rozciąga wcale, jak na południu, tam ziemia i świat roślinny nie potrzebują zabezpieczenia od niej. Ale posuńmy się ku północy, gdy twardy grudzień okuje lodowymi pancierzem na długie zimowe miesiące lono matki ziemi, gdy mróz zwarzy zioła i trawy, spychając iskielki życia do podziemnych kłęczów, kłębów, bulw i cebul. Cóż to wątłe życie ochroni od srogości mrozu, co je ogrzeje i pozwoli mu tęcić do wiosny? Oto śliczna, biała pierzynka, z którą tylko puch ptasi może iść w porównanie, co do lekkości i ciepła. Ciepła jest dobrze, mili czytelnicy, bo cieszy ona was jako nowa i obiecująca miłą senną i ślizgawkę, grę w śnieżki i inne zimowe zabawy. To śnieg, śnieg biały, nieznanym mieszkańcom rajów gorących. To ta niepokalana, cudna szata, która pokrywa wszelkie brudy i nierówności: szare łono roli, czarne dachy miast, brzydkie kałuże i płowe wydmy piasków; która zamienia lasy w zaklęte pałace i rozrzuca miliardy brylantów, iskrzących się na słońcu, jak bajeczne skarby Golconda.

U nas zima bywa nietrwała. Śnieg to pada, to niknie, a w mieście prędko bruka się i ginie pod wpływem ciepła ognisk domowych i fabrycznych; na polach trwa dłużej. Ale na północy lub w górach, raz upadłszy, leży już ciągle



do wiosny, owszem, coraz nowe warstwy padające na dawne, grubość ich zwiększają.

Śnieg jest znakomitem pokryciem. Jako bardzo zły przewodnik ciepła, sprawia on, że nawet przy kilkunastu stopniach mrozu temperatura pod nim mało jest od zera niższa. A roślinom tem pod nim ciepłej, im bardziej puszystej, mniej ubity lub zdeptany. Zresztą, jeżeli nastąpi raptowna olwilź, rośliny pod śniegiem wcale jej nie czują. Wpierw bowiem musi się cała jego masa stopić, zanim ciepło do ziemi przeniknie. Nic zaś niema dla roślin zmarzniętych tak niebezpiecznego, jak szybkie rozmrażnięcie, które ich budowę wewnętrzną niszczy.

Śnieg to sprawia, że w Alpach i na Syberji rosną liczne rośliny zimotrwałe (z korzenia), które u nas, choć lato mamy cieplejsze, giną. Zboża, rzepaki, bratki, pietruszka i cały szereg roślin użytecznych, czekają tak pewnego przyjscia wiosny, jak dobry chrześcijanin oczekuje przyszłego, lepszego życia, zapowiedzianego mu przez Pismo Święte.

Dla tego, gdy świeżemu śniegowi cieszą się dzieci, bo zapowiada nową zabawę, cieszy się myśliwy, gdyż na ponowie łatwiej wytręcić zwierzynę — niemniej mu też radzi się rolnik i ogrodnik. Pod tą ciepłą kolderką plony ich bezpiecznie przetrzymają zimę, nie wymarzną drzewa, a jeżeli dobry Bóg da maj pomyślny — urodzą się słodkie gruszki i rumiane jabłka, tak potrzebne choćby do ubrania choinki.

*E. Junkowski.*

# NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

— Jędrus przypraw sobie brodę i weź puszkę z kadzi-  
dłem.

— Marcinek, nie włócz tak płaszcza, bo go pobrudzisz.

— Piotrus, podnieś więcej oczy do góry i wpatruj się  
w gwiazdę, która nas ma prowadzić.

— Kiedy nie widzę gwiazdy, tylko jakiś szmatek bia-  
ły — odrzekł Piotrus, poprawiając na sobie płaszcz pasowy,  
okładany białem futerkiem.

— To nic, to tylko próba: na uroczystość będzie gwia-  
zda taka świecąca jakby prawdziwa — uspokajał imci pan  
Sulpicyusz, kapelmistrz nadworny muzyki pana.

— A my gdzie staniemy? — zapytał młodzieniec może  
piętnastoletni w lnianej peruce i szarej opończy, opasanej  
słomianym powrotem, — i naraz zadał w trzymaną w ręku  
piszczałkę.

— Cicho, Kaziu, jeszcze nie czas — zgromił go Jędrus  
potrzęsając wielką brodą z konopi. Lecz jeszcze nie prze-  
brzmiały tony wydobyte z piszczałki Kazia, kiedy inny zaczął  
uderzać pałeczkami w struny gęśli, zawtórowały mu zaraz  
cieniutkim głosem trzystrunne skrzypce, zadźwięczała tę-  
sknym głosem lira, a surma ze swych wielkich otworów doda-  
ła jakieś grube, pełne dźwięków wojennych tony.

— Sub-bordynacya! — krzyknął gromkim swym gło-  
sem imci pan Sulpicyusz. Młodzieńcy poprzebierani, za pa-  
sterzy, wszyscy w lnianych perukach, puszczali ku ziemi  
trzymane instrumenta muzyczne i z udaną pokorą spoglądali  
na swego mistrza. Ten ustawiał ich, dawał nauki, jak który  
ma głowę skłonić, jak się pochylić, odchodził, to znów przy-  
bliżał się, poprawiał wspaniałe królewskie płaszcze, którym  
odziani byli Jędrus, Marcinek i Piotrus, i w ogóle miał nie-  
mało kłopotu. I nie dziw, wszak urządzał przedstawienie na  
imieniny wielmożnego Baltazara, kasztelana zakroczymskie-  
go, które przypadały w sam dzień Trzech Króli. Na tę uro-  
czystość zwykle zjazd był wielki znakomitych gości, a pan

Sulpicyusz będący kapelmistrzem na dworze kasztelana,  
chciał swemu chlebowdawcy zrobić niespodziankę, a zarazem  
popisać się ze swymi rozlicznymi talentami.

O tej niespodziance, mówiąc nawiasem, pan kasztelan  
dobrze wiedział, a nawet na ręce pani Łucyi swej małżonki,  
pokażną sumkę na ten cel wyasygnował, udawał jednakże, że  
się niczego nie domyśla i w tym celu wyjechał wraz z żoną na  
Nowy rok i kilka dni poza domem bywał.

Udawał zaś tak dobrze, że dzieci były najpewniejsze,  
iż nie tylko ojciec ale i matka o całym przygotowaniu nie wie-  
dzą. Pan kapelmistrz zaś ze swej strony wmówił w siebie,  
iż jasnie wielmożny kasztelan nic nie wie, iż byłby w rozpacz  
gdyby go z tej pewności ktoś śmiał wyprowadzić.

Korzystał więc z nieobecności obojga ichmości państwa  
i codziennie odbywał próby tak z ich dziećmi jako też i z dwor-  
zanami, którzy zwykle na pokoje podczas uroczystości byli  
przypuszczani.

Gdybym to mógł swoich synków przebrać, staliby jak  
mur; zwyciężone to, ho, ho, niczem wojsko — mruczał imci  
pan Sulpicyusz — ale cóż, nie wypada, a zresztą, synkowie  
muszą być w porządku, boć kapela kapelą! Synkami zaś na-  
zywał muzykantów, którzy pod jego dyrekcyą wyćwiczeni,  
składali kapelę słynącą daleko ze zgodnego i doskonałego  
grania.

— Ale to, ot, paniczki, co oni się znają jak trzymać  
rytm, a rytm mości dobrodzieju, powinien być we wszystkim!  
myślał sobie dalej, przywiązując papierową koronę na głowie  
Piotrusia, który miał przedstawiać jednego z trzech królów  
składających hołd Dzieciątku Jezus.

— Czy też ojciec mnie pozna — mówił tymczasem  
Jędrus, gładząc swą przyprawną brodę.

— Ktoby cię tam poznał! — ozwał się Stach. I zapo-  
mniawszy o przestrodze imci pana Sulpicyusza, pociągnął  
smyczkiem po strunie.

Kapelmistrz spojrział surowo na niesfornego skrzypaka  
i aż zgryztnął zębami z niecierpliwości.

— Ha ha! jeszcze nie czas na pasterkę, pierwszej królo-  
wie hołd będą składali — zaśmiał się Piotrus, i podniósł gło-  
wę do góry, przyczem przekrzywił na głowie koronę, którą  
mu tylko co pan Sulpicyusz z takim trudem przymocował.

— Ej Piotrusiu, nie przerabiaj tego, co w Piśmie świę-  
tem stoi napisano, a i w kolendzie też śpiewają: Anioł paster-  
zom mówił — odrzekł Kazio, i zapomniawszy się zadał  
w piszczałkę.

— Tak, ale w innej kolendzie śpiewają: „Trzej królo-  
wie przyjechali, dary mu wielkie oddali, Ej kolenda, kolenda.”  
— zaśpiewał Jędrus.

— Utrapienie z mości paniczami, żadnego ładu ni  
składu; żaden na miejscu nie stoi, psują cały układ! — biadał  
kapelmistrz, biegnąc od jednego do drugiego i nie mogąc  
sobie dać rady z tą młodą rzeszą. Każdy bowiem z ucze-  
stników obrazu, który miał przedstawiać hołd złożony Dzie-  
ciątku Jezus, z wielką gorliwością chciał spełnić rolę sobie  
przeznaczoną i w tej gorliwości psuł cały porządek.

Więc trzej królowie stawali na miejscu, przeznaczone  
dla pasterzy, pasterze zaś chcąc jak najprędzej popisać się  
ze swoją muzyką i śpiewem, próbowali instrumentów lub po-  
czynali śpiew, który ich samych najwięcej zachwycił.

— No, no, dajcie spokój, stójcie jak imci pan Sul-  
picyusz nakazuje — strofował Marcin, najstarszy z synów  
pana kasztelana.

— Ichmości rodzice jutro powrócą, nie będziemy mogli  
robić próby, trzeba korzystać z ich nieobecności — dodał  
z powagą Jędrus, młodszy kasztelan, przedstawiający je-  
dnego z trzech królów.

I tak zamaszycie rozwinął poły swego szafirowego  
płaszcza, że potracił o struny liry, stojącego opodal pasterza.

— Imci panie kapelmistrzu, broda mi odpada — zawo-  
łał Piotrus.

Pan Sulpicyusz wznosił oczy do góry z żywym zniecier-  
pliwieniem, westchnął i nie mówiąc, poprawił brodę po-  
zbawionemu tej wspaniałej ozdoby królowi.



— Do porządku, do porządku! — wołał Marcin.

— Ach, do porządku ichmościowie — błagał kapelmistrz — taki piękny obraz. tyle dostojnych osób zjedzie się na imieniny jasnie wielmożnego pana kasztelana, a jak próby doskonalej nie zrobimy, zrobimy fiasco.

— Do porządku! — powtarzał Kazik, krewniak kasztelanowej, sierota, wychowujący się wraz z ich synami.

— Oj tak, jeden tylko Kazik, rozumie jeszcze najlepiej jak się zachować — rzekł pan Sulpicyusz, który miał skłonność wielką do młodzieńca, bo ten zdradzał rzeczywiste zamiłowanie do muzyki i dziwnie piękne melode nieraz na piszczałce, którą sam sobie zrobił, wygrywał. Dowcipny też był nad wyraz i takie miny umiał wyprawiać a rozmaite zwierzęta, nawet dzikie bestye udawać, że go wszyscy dla tej

— Aha, loczki!... a tak, tak, na próbie aniolki mogą być bez loczków — rzekł kapelmistrz, ustawiając najpierw pasterzy, a za nimi na wzniesieniu królów, którzy nareszcie doprowadzili do porządku swoje wspaniałe szaty i jeszcze wspanialsze brody.

— Mości Sulpicyuszu, jeżeli nie będzie gwiazdy, nie będę miał weny do odśpiewania kolendy — zawołał Kazik.

— Ależ dam wam już i gwiazdę, jeno stójcie jak należy, a każdy niech czyni swoją powinność.

— To pójdziemy wdziac szatki — rzekła znów Jadwisia, kiedy tymczasem Anusia małym paluszkiem potraçała o struny liry, trzymanej przez jednego z pasterzy.

— A któż tam znów brzdąka! — odwrócił się kapelmistrz, który w tej chwili dyrygował robotnikami, ustawiają-



Galerya gotycka w Wilanowie.

jego krotocwilności lubili i wiele psot darowali. I teraz też przeciągnął twarz i zrobił się tak podobnym do owcy, że wszyscy wybuchnęli mimowolnym śmiechem.

— A to co? — zapytał kapelmistrz, który zajęty czem innym, figla nie spostrzegł.

Nikt mu jednak nie odpowiedział, bo odedrzwiał ozwał się głos cieniutki:

— A kiedy nam pan Sulpicyusz przypnie skrzydła? — zawołała, wbiegając Anusia, najmłodsza z pięciorga kasztelańskich dzieci.

— Nie trzeba się napierać, Anusiu — skarciła ją starsza siostra Jadwiga. Zaraz jednak dygnawszy, dodała:

— Imci pani Antoniowa mówiła, że nie trzeba rozkręcać loczków, ale przecież aniolki nie mogą być bez loczków....

I potrząsnęła główką ubraną w pozwijane włosy na skrętki z końskiego włosia.

— Zaraz, zaraz proszę panny kasztelanki, zaraz aniołeczki moje... — mówił kręcąc się Sulpicyusz.

— A te loczki?... — spytała powtórnie Jadwisia.

cymi wzniesienie, przedstawiające stajenkę, otoczoną oblokami, wśród których na sianku miało spocząć Dzieciątko Jezus.

— Ależ to żaden z nas! — sumitowali się pasterze.

— Czy to nie można? — zapytała Anusia figlarnie, odejmując paluszek od liry.

— Nie można, nie można aniołeczku — mówił kapelmistrz, wbiegając na drabinę, aby poprawić obłok, który robotnicy, nie według jego myśli przybijali.

— Może już trzeba podać Dzieciątko? — zawołała od proga pani Antoniowa, ochmistrzyń kasztelank a zarazem i całego niewieściego dworu.

I pokazała lalkę ślicznie uwiniętą i złożoną na bieluchnej pościółce, z pomiędzy której wyglądało siano.

— Zaraz, zaraz, niech jejmość chwileczkę się jeszcze zatrzyma.

— A możeby co pomódz imci panu Sulpicyuszowi?

— Dziękuję, dziękuję za dobroć serca jejmości — wo-







łał kapelmistrz, cały zziębnięty, nie wiedząc może nawet, za co i komu dziękuje.

Tymczasem obie kasztelanki: dziesięcioletnia Anusia i jedenastoletnia Jadwisia, zapatrzywszy się na przybijane pomalowane płótno, wyobrażające obłoki, zapomniały zupełnie o obietnicy, że pójdą wdziak szatki stosowne do przedstawienia, a zobaczywszy lalkę trzymaną przez ochmistrzynię, przybiegły do niej, a wspinając się na paluszki, wołały:

— Niech nam jejmość pokaże to śliczne dzieciątko!

— Proszę kasztelanek uspokoić się, gdy przyjdzie czas ujrzenie Dzieciątka w całej swojej chwale — odrzekła z namaszczeniem ochmistrzyni.

— Ale ja tylko raz spojrzę — domagała się Anusia.

— To nie jest kukła do zabawy, jeno wyobrażenie Dzieciątka Jezus — odrzekła pani Antoniowa, zakrywając fartuchem trzymaną lalkę.

— No, to już wszystko gotowe — rzekł z zadowoleniem pan Sulpicyusz — schodząc z wzniesienia.

— A co, jak ładnie! — dodał, przypatrując się swemu dziełu i ocierając spocone czoło połamianego kitla.

— Juści, że ładnie, jeno, że nie nie widać, bo ogień przygasał na kominie! — zaśmiał się Kazik.

— Chyba musimy kilka kotów złapać i choć po jednym oku sobie od nich pożyczyć, żebyśmy w ciemności widzieli — dodał żartowniś i miauknął przytem tak przeraźliwie, że wszyscy znów w śmiech uderzyli.

— Błagam was, moi panice, nie mówcie nic i nie ruszajcie się, bo popsujecie całe ubranie — odrzekł kapelmistrz, a potem dodał: — Będzie zaraz jasno, oświecę tymczasem kagankami, bo sztuczne ognie wiele kosztują, nie można ich na próbę psować.

— No, a teraz imci kasztelanki, najdroższe aniołki, hop, w górę... ale cóż to, nie macie jeszcze szat anielskich — rzekł, przypatrując się dziewczynkom.

— Ach, prawda — zawołała Jadwisia — proszę jejmość ochmistrzyni, pan Sulpicyusz powiedział, żebyśmy szatki długie wdziały.

— A nie posmola się? boć przecie prać się już nie zdąży — zapytała pani Antoniowa, troskliwa o białosć szat swoich wychowanek.

— Ależ nie, nie, jeno niech pani Antoniowa pośpieszy się, bo ta cała rzesza czekająca na ukazanie się Dzieciątka Jezus w chwale Aniołów zniecierpliwia się do cna — zawołał kapelmistrz, odbierając z rąk ochmistrzyni lalkę.

— Jeno, proszę z całą przynależną czcią dla Dzieciątka — zawołała pani Antoniowa. — Ubierając je miałam złudzenie, że mi Najświętsza Panna powierzyła swój skarb najdroższy, a imci pan Sulpicyusz bierze do rąk bez wszelkiej konsyderacyi! — dodała, spoglądając na kapelmistrza, unoszącego lalkę.

Niesłuszna jednak była jej wymówka, bo Sulpicyusz przejęty wielkością chwili, jaką wybrał do ułożenia misteryi, zabierał się do jej wykończenia z największą czcią i poszanowaniem.

Teraz więc wzięwszy lalkę mającą wyobrażać Dzieciątka Jezus, wstępował na wzniesienie nucąc półgłosem jakąś pieśń łacińską. Wszedłszy zaś ułożył na sianie, śpiewając:

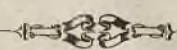
"Luli, luli Dzieciąteczko  
Luli Jezusie!..."

(d. c. n.)

## Galerya gotycka w Wilanowie.

W uroczym Wilanowie, ulubionym celu wycieczek Warszawiaków, mieszczącym tyle drogocennych pamiątek po królu bohaterze z pod Wiednia, pałac przez niego zbudowany w stylu włoskim, posiada od strony ogrodu przyozdobione malowidłami galerye, które miały w początkach bieżącego

stulecia wygląd, jaki przedstawia nasza rycina. Przy budowie pałacu użyli jako robotnicy, po większej części jeńcy z wyprawy chocimskiej, a król, sam kierując pracami, własnoręcznie nieraz pomagał w sadzeniu drzew i szpalerów. Do skończonego pałacu gromadził Jan Sobieski najdroższe wyroby i arcydzieła sztuki, a przebywając najchętniej w Wilanowie, tu życie zakończył r. 1696.



## Łoś.

Na załączonej rycinie widzimy leśną polankę, zasypaną śniegiem, a na niej dwa łosie. Okazałe to zwierzęta, nie odznaczają się jednak zbyt piękną postacią. Łoś dorównywa wzrostem koniowi, jest więc największym z pomiędzy jeleni. Waga jego dochodzi 600 do 800 funtów, czasami zaś trafiają się okazy, ważące przeszło 1000.

Będąc bliskim krewniakiem jelenia, łoś ustępuje mu znacznie w zręczności. Tułów ma krótki, ścięsniony, porosły dość długą, ciemno-brunatną sierścią i zakończony małym ogonkiem; nogi wysokie, cienkie, ale mocne, zwane przez myśliwych biegami. Na krótkiej szyi spoczywa długa głowa podobna do osły z dziwnie niezgrabnym pyskiem, zdobi ją para okazałych rogów czyli rosochów. Nie są one tak ładne, jak rogi jelenia: każdy składa się z krótkiej łodygi przechodzącej w szeroką, płaską łopatę, czyli tak zwaną dłoń rogów, opatrzoną z brzegu licznymi, krótkimi gałązkami. Rosochy z powodu płaskiego kształtu nie mają żadnego znaczenia dla łosi, jako oręż obronny, lecz stanowią jedynie ozdobę, ciężką przytem do dźwigania, gdyż ważą nieraz po 40 funtów i więcej.

Samice i młode łosięta są pozbawione rogów tak samo jak u wszystkich jeleni. Dopiero po roku młode dostają krótkie, proste rogi, które zrzucają przy końcu zimy. Na ich miejsce wyrastają nowe rosochy, ale już zakończone płaską dłonią z 2-ma gałęziami. I one również opadają. Taka zmiana rogów odbywa się co rok i za każdym razem wyrastają łosiowi coraz wspanialsze.

Łosie przebywają stadami w dużych bagnistych lasach. Jesień i zimę spędzają w suchych kniejach, na wiosnę zaś i lato przechodzą na moczary, w których szukają ochrony przed dokuczającymi owadami. W lecie łoś spędza nieraz cały dzień, pogrążony w bagnie aż po samą głowę.

W lecie żywią się liśćmi i trawą, chętniej jednak jadają pierwsze, gdyż z powodu swej krótkiej szyi, chcąc zerwać trawę muszą klękać na przednie nogi. W zimie żywią się korą oraz pączkami drzew i zrzadzają nieraz ogromne szkody w lasach.

Niegdyś łoś zamieszkiwał Europę środkową i północną, dziś należy do zwierząt prawie zaginionych. W części wpłynęło na to nadmierne tępienie tych zwierząt przez myśliwych, w części zaś zmniejszeniem się wielkich lasów, bez których zwierz ten istnieć nie może. Obecnie łosie istnieją jeszcze jedynie, dzięki ochronie, którą zaprowadzono, żeby przeskodzić zupełnemu zniknięciu tej zwierzyny. W ów sposób dochowały się one w Prusach wschodnich w ilości przeszło 100 sztuk; stamtąd zaglądają nieraz do lasów Augustowskich. Znajdują się także Nielicznie na Litwie i Polesiu. Poza Europą posiadają te zwierzęta jeszcze Azja i Ameryka północna. Mięso łosi jest jadalne; za przysmak jednak uchodziły tylko chrapy (pysk). Skóra dostarczała wybornego materiału na kaftany rycerskie i spodnie. Jeszcze na początku naszego stulecia tępiono zjadale łosie, żeby otrzymać skórę na białe spodnie, noszone wówczas przez wojskowych. Rogi zaś stanowiły piękne trofea dla myśliwego.

B. Dyakowski.



# DWIE KOLENDY.

— Nie, moja Anusiu, dziś nie dobrze czytałaś, byłaś roztrągniona, jeżeli i jutro tak będzie, to za karę przez cały tydzień nie pozwolę ci przyjść na naukę, mówiła czternastoletnia Zosia, jasna blondynka, z dużemi czarnemi oczyma, w których odbijała się dobroć i łagodność, do dziesięcioletniej dziewczynki, ubranej bardzo biednie.

— Panienko droga, więcej tego nie będzie — odpowiadała mała Anusia, wstając i całując ją w rękę z miłością — więcej panienka na mnie gniewać się nie będzie, a zarzuciwszy podarty kaftanik, wyszła z pokoju.

— Nie rozumiem twego upodobania, Zosiu — odezwiała się może o rok starsza Helenka, mocna brunetka z małym kiem nadzwyczaj żywymi oczkami, robiąca sobie jakieś kokardyz ponsowej wstążki — nie rozumiem, i jeszcze raz nie rozumiem tej ochoty zajmowania się prostemi zamorusanemi dziećmi. No, jeszcze Kazia, córka naszego lokaja, to przynajmniej nie zasmolona, Julka, pół biedy, bo Magdalena piorąc nazą bieliznę i ją opiera, ale ta Anusia, córka stróża, brudna obszarpana, a ty nią dłużej i staranniej się zajmujesz, jakby ci to robiło prawdziwą przyjemność. Fi! jabym tego nie mogła.

— Zgadłaś, moja Helenko, że mi to robi przyjemność; ledwo parę miesięcy ją uczę a jaki postęp! wszak już czyta wcale niżle i tak się do mnie przywiązała, widziałas jak się zmartwia gdym się na nią gniewała i obiecała ukarać.

— Cha, cha, cha — zaśmiała się głośno Helenka — ona się zmartwiła żeś jej dziś nie ukarała, zabraniając przychodzić na naukę. Dziwnie wszystko tłumaczysz.

— Mylisz się, Helenko, pamiętasz, jak Julkowi, który rzeczywiście jest leniwy i bardzo swawolny, przez trzy dni nie pozwolił przychodzić, jak się martwił, przeproszał, przyrzekał poprawę, i dotrzymuje słowa, już to od tej pory drugi miesiąc a pamięta, dobrze się zachowuje i starannie się uczy.

— Ty zawsze taka sama, już godzna trzecia, o szóstej przyjdą nasi goście a twoja sukienka nie przybrana kokardami, bo nie porobiłaś ich, a patrz jakie moje śliczne, kończę ostatnią i zaraz upnę sukienkę, spiesz się, bo nie zdążysz.

— To się obejdę bez kokard, biedna Anusia kaftanika ciepłego niana, a może się bez niego obejść.

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła pani Mirska, matka Helenki i Zosi i z uśmiechem zadowolenia odezwiała się:

— Oczcie się, moje dziewczeczki, w tej chwili otrzymałyście zaproszenie na wieczór noworoczny, na którym urządzają kolendę dla zgromadzonej młodzieży.

— Jako, mamó? co z tego za korzyść dla biednych, że my się bawić będziemy i zostaniemy obdarzone? — zapytała Zosia.

— Może też państwo Z. wydając ten wieczór pomyśleli o obdarowaniu biednych.

— To prawda, ale biednych jest tak wielu, że przy urządzaniu podobnej zabawy, nie mogli dla nich wiele uczynić. Ot u naszego stróża czworo dzieci, Anusia najstarsza, takie w łachmanach prawie, żeby im zrobić tylko kania, to ileżby pieniędzy trzeba, pewno rubli kilkaście.

— O! już Zosia zaczyna swoje gderanie. Zawsze ktoś coś dostanie i to dobre.

— A teraz spieszcie się, bo prosiłam aby się wasi goście nie spóźnili, jak przyjdziecie gotowe pomówimy jak sięacie ubrać na kolendowy wieczór.

Matka wyszła, a dziewczęta uszczęśliwione zaczęły szebiotać i cieszyć się na zapowiadzaną zabawę. W pół godziny, Helenka w kremowej sukience, przybranej ponsowe-

mi kokardami, Zosia w takiejże gładziutkiej, bez żadnych ozdób, z kremowym hijacyntem we włosach, weszły do obszernego salonu, w którym już znalazły przechadzającą się matkę. Dziewczynki ucałowały jej ręce i stanawszy przy niej, rozpoczęły przechadzkę.

— Myślałam teraz, jakie wam porobić sukienki, bardzo dużo będzie osób, trzeba abyście były ładnie ubrane, wszakże to pierwszy raz będziecie w tak licznej zebraniu.

— Moja mamó, niech mi mama zrobić każe różową muslinową haftowaną, ozdobioną koronkami, a ty Zosiu jaką chcesz mieć?

— Ja? ja chciałabym białą gładką.

— Zosia zupełnie gustu niema — zauważyła Helenka.

Zanim matka odpowiedzieć zdążyła, otworzyły się drzwi i weszło kilka panienek, mniej więcej wieku naszych dziewczątek i kilku tancerzy. Po serdecznych powitaniach zaczęto rozmawiać o noworocznych przyjemnościach. Niektórzy z przybyłych otrzymali też zaproszenie na kolendowy wieczór. Wszczęła się więc rozmowa o tem, jak kto będzie ubrany. Młodzież zamawiała panienki do tańców. Helenka była już zamówiona do mazura i kadryla, Zosia toż samo, nie rachując innych tańców. Weszło czas schodził zebranej drużynie, gdy jeszcze panna Róża, nauczycielka domowych panienek, zasiadła do fortepianu, wygrywając skoczne polki i mazury. Przeciągnęła się zabawa do godziny jedenastej, poczem młodzież zmęczona tańcem, zasiadła do wieczery, gwarząc o obecnej i oczekiwanej zabawie. Wszystkie panienki były rozradowane, ale najwięcej Zosia, która bezustannie wracała do tego przedmiotu.

Niezdługo po wieczery, młode grono gwarnie się żegnając, rozeszło do domów, a Helenka i Zosia długo jeszcze nagadać się nie mogły. Obaczywszy na zegarze spóźnioną godzinę, pierwsza Helenka zabrała się do spoczynku, Zosia długo jeszcze siedziała, nareszcie uklękła do pacierza i dłużej niż zwykle się modliła, wstała, podeszła do siostry, ale ta mocnym snem spała uśmiechnięta, zapewne marzyła o zabawie. Zosia chwilę nad nią stała, i wolnym krokiem poszła się rozbierać, zdmuchnęła świecę, ułożyła się, ale coś usnąć nie mogła, przewracała się z boku na bok i gdy zegar wydzwonił godzinę piątą, do snu oczy zmrużyła, ale sen był niespokojny i o ósmej rozbudzona zupełnie zaczęła wstawać, gdy Helenka jeszcze na dobre spała. Ubrała się i podeszła uściśnąć siostrę zdziwioną, że już pora wstawać, bo marzyła rozkosznie noc całą.

Zosia weszła do jadalnego pokoju, gdzie już znalazła matkę rozmawiającą z krawcową o ubiorach dla córek; powiedziałszy dzień dobry usiadła zamyślona, aż i zaspana Hela wbiegła i zaczęła opowiadać jak przez sen widziała siebie tańczącą polkę w różowej haftowanej sukni.

Matka wysłuchiwała tego szczebiotu i rzekła:

— Chcę wam zupełną zrobić przyjemność i zrobić takie sukienki, jakie mieć chcecie, tylko, że Heli drogą kosztować będzie, panna Elżbieta mówi: że nie mniej dwudziestu rubli, dodać do tego rękawiczki i pantofelki, to wyniesie rubli dwadzieścia pięć; ale już na Nowy rok innego podarku mieć nie będziecie jeżeli zrobić każe te sukienki, czy zgoda?

— Ależ zgoda, moja mamó, zgoda — zawołała Hela, wykręcając się po pokoju.

— Hela się zgodziła, ale Zosia milczy, czyżby niezadowolona była?

— O nie, mamó, wszakże wiesz, że za wszystko ci wdzięczną jestem, ale dziś mam inną prośbę do ciebie.

— Jakąż to?

— Nie każ mi robić tej sukienki a oddaj przeznaczone na nią pieniądze.

— Co? co? co ty mówisz, Zosiu? — zawołała Helenka! — sukienki nie robić? Nowej ślicznej sukienki nie chcieć!

— I ja cię też zapytam, Zosiu — dodała pani M. — czy wolisz pieniądze, niż sukienkę?



— Tak, mamó, dziś wolę pieniądze. Wczoraj Jania mi mówiła, że panna Ola urządza kolendę dla biednych dzieci, ale w inny sposób; tam goście wszyscy będą ubrani w codzienne suknie i kolendy nie dostaną, a każda z pańienek obowiązana będzie zrobić jakie ciepłe ubranie dla biednych dzieci, albo oddać pieniądze pannie Oli, która się sama zajmie sporządzeniem tych ubrań kolendowych dla dzieci zziębniętych i głodnych. Moja mateczko ja cieszę się tą kolendą więcej niż ową, przy której mamy tańczyć.

— Zosiu, Zosiu! — niemal z rozpaczą zawołała Helenka — dość będzie czasu jak się zestarzejesz, wówczas jak nasza babunia oddasz się dobrotliwym uczynkom, a teraz będziesz bawić się bo nasza pora, i ściskając ramionami dodała — nie chcesz takiej ślicznej sukienki?

— Moja Helenko, wszakże i pana Ola, młoda, piękna i bogata, a jednak zawsze jednakowo ubrana, doprawdy, mnie się zdaje, że ona nie ma więcej nad trzy sukienki, a zawsze taka śliczna wesoła i szczęśliwa!

Pani Mikurska podeszła do Zosi, ucałowała ją, mówiąc:

— Dwadzieścia pięć rubli, dziecko moje, masz do rozporządzenia jak sama zechcesz.

— Dobrze, mamó — rzekła Hela — ależ w jakiej sukience będzie Zosia? Ale nikt nie odpowiedział na to pytanie, bo Zosia ściskała matkę, która ją błogosławiła w myśli.

Helenka zawahała się wtedy i jakby chciała pójść w ślady siostry, ale próżność przemogła i po chwili odezwała się nie zupełnie śmiało:

— Ale czy panna Elżbieta na czas wykończy dla mnie sukienkę?

— Wykończę na pewno — odpowiedziała krawcowa.

Zosi już nie było w pokoju.

Hela po chwili dodała:

— Może do mojej sukni możnaby użyć mniej koronek, toby parę rubli zostało; oddałabym je pannie Oli.

— Można mniej suto ubrać, to mniej się ich użyje.

— Ale czy ładnie to będzie? — dodała strojnisia.

Matka dziwnym wzrokiem popatrzyła na Helę, ale nie mieszała się do rozmowy. Stało więc na tem, że dwa ruble zostało oszczędzone na koronkach, które Hela wraz z Zosią idąc na przechadzkę z nauczycielką, odniosły pannie Oli. Ta, w imieniu biednych podziękowała i prosiła, aby dziewczeczki koniecznie były przy rozdaniu tej kolendy, gdyż się ona odbędzie o piątej po południu, a tamta wspaniała z tańcami ma się zacząć o ósmej. Panienki odpowiedziały, że chętnie przyjdą, a Zosia nieśmiało prosiła o odzież dla biednych dzieci stróża, na co panna Ola chętnie przystała.

Wracając do domu Hela mówiła:

— Jaka zabawna panna Ola, zapraszając nas na rozdanie tej kolendy, cóż my tam zobaczymy zajmującego? Kilkanaście lub kilkadziesiąt obdartych dzieci, zabierających nędzną odzież. Przecież o tej porze musimy już być ubrane, czyż można gnieść ładne sukienki?

— A jabym bardzo chciała widzieć to, i jeżeli mama pozwoli a panna Róża się zgodzi, chętniebym tam była; co zaś do mojej sukienki, niema się co o nią troszczyć, wszakże będę w tej samej co i wczoraj.

— Nie rozumiem, jak się nie wstydzisz być w tak nie świeżej sukni! — powiedziała niechętnie Hela i wysunęła się aaprzód.

Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany i Zosia otrzymała od matki pozwolenie przyjęcia udziału w kolendzie wraz z panną Różą. Ale pani Mirska jeszcze jedną przyjemność zgotowała Zosi, bo przez lokaja posłała ogromny kosz ciast, cukierków i bakalii dla dzieci, które miały być obdarzone odzieżą. Gdy weszła Zosia, panna Ola podbiegła, ściskając ją serdecznie i dziękując, że za jej pośrednictwem jeszcze tyle przyjemności mieć będą biedne dzieci. Wprowadziła ją do pokoju, w którym na dużym stole stały kolendowe dary, składające się z mnóstwa ciepłej odzieży, bielizny i obuwa. W rogu pokoju kilkadziesiąt dzieci z ciekawością spoglądało na stół, gdzie obok odzieży widziały rozłożone bakałie. Panna Ola jak anioł opiekuńczy zaczęła następnie wyprować po jednym dziecku i obdarzała każde z nich.

Zosia nie mogła zostać do końca, bo matka na nią czekała, ale wzruszona i szczęśliwa wróciła do domu, opowiadając, że nie wyobrażała sobie, ażeby te uszczęśliwione dziecięce twarzyczki tak wielką jej rozkosz sprawiły.

Hela niezupełnie zadowolona ze swojej sukienki, z łwarsną miną wtrąciła:

— Czy pomyte przynajmniej były, czy też zasmilone jak kopeiuszki?

Ale nie otrzymała na ten dowcip odpowiedzi.

W oznaczonej godzinie znalazły się obie siostry wraz z matką w rześcicie oświeconym salonie, gdzie na środku leżały kolendy przeznaczone dla przybyłej młodzieży, a były to podarki rzeczywiście dla bogatych tylko służyć nogę, a dla biednych nie się tam nie znalazło.

Zosia szczęśliwa i ożywiona porankiem u panny Oli, bawiła się doskonale, tańcowała wszystkie tańce w swojej skromnej, kremowej sukience, Hela zaś i mniej tańcowała, czem się mocno zmartwiła i jeszcze na początku wala, niezręczny tancerz okręcił ją tak silnie, że zaczęła się koronką u sukni za stojący ogromny wazon i rozdarła ją, czem ostatecznie zepsuła sobie humor.

Wróciwszy do domu, na zapytanie nauczycielki jak się bawiły, Zosia odpowiedziała:

— Doskonale! a Hela z okrzykiem.

— Szkaradna zabawa!

Wówczas obecna tam matka rzekła:

— Mnie się zdaje, że to wcale nie zabawa temu winna, ale coś innego w nas samych.

Helenka ze spuszczonemi oczyma rzekła:

— Tak mamó, Zosia dobry uczynek spełniła i to ją uszczęśliwiło, była wesołą i śliczną, ja przeniosam stroje i słusznie ukaraną zostałam. Nadal wiem już jak ram postępować, a jeżeli sama nie będę wiedziała co robić, pytam się Zosi i pójdę w jej ślady; i siostry uściśnawszy się podeszły do matki, jakby prosząc o jej błogosławieństwa przyroku nowo rozpoczętym.

*Zofia Sawicka.*

# PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrji w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRZĘŚĆ: Nowy Rok, wiersz przez Maryę S. (z ryc.) — Jubileusz Adama Pługa. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — Galerya gotycka w Wilanowie (z ryc.) — Łoś (z ryc.) — Dwie kolendy. — Dodatek: Co rok nowy przyniesie? wiersz przez Z. M. (z ryc.) — Pierwsza zima wiewiórki — Gołąbek Bożenny. — Łamigłówek. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Вapшава 16 Декабря 1897 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



# WIECZORY RODZINNE

## Co rok nowy przyniesie?

— Jutro rok nowy, mamó, a dla czego nowy?  
— Cicho, Adasiu — mamie nie przerywaj mowy,  
Ty Idziu nie przeszkadzaj!

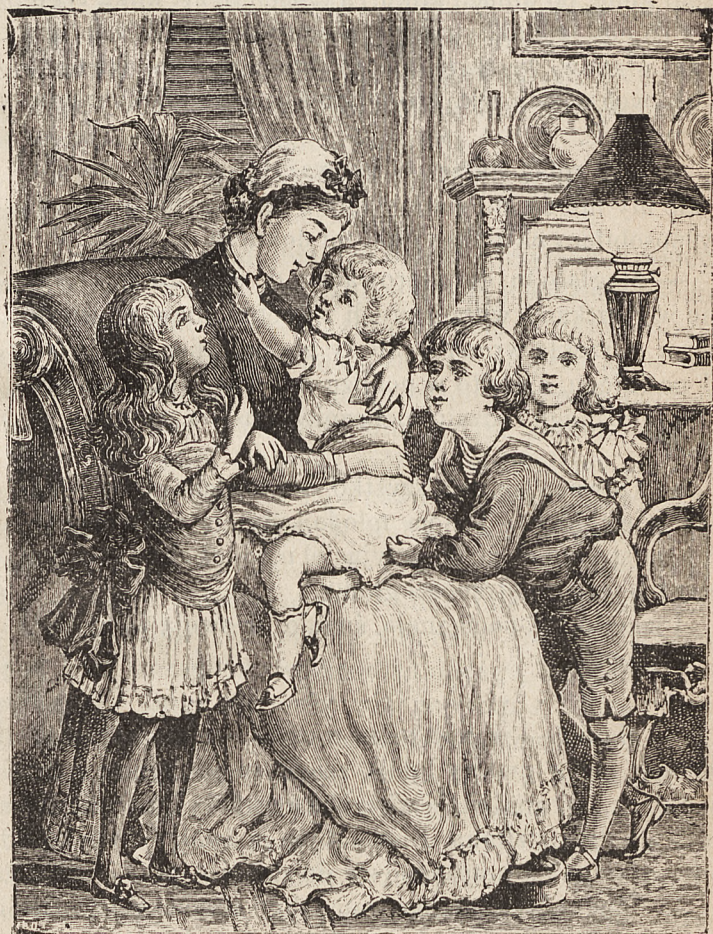
Wołała Halinka.

Mama wzięwszy na ręce małego synka,  
Tak do dzieci mówiła:

— Dziś skończymy stary,  
A z nim wszelkie grymasy i wszelkie przywary.  
Gdy zegar dziś północną godzinę wydzwoni  
Każde z was już oddawna główkę do snu skłoni.  
Jutro kiedy z was każde oczki swe otworzy,  
Powita już rok nowy...

— Czy aniołek Boży  
Przyniesie co dobrego nam z tym nowym rokiem?  
Rzekł Adaś i na brata mrugnął z lekka okiem,  
A Józki rzekł do uszka:

— Zobaczysz, przyniesie,  
Bo mówią, że gołąbek, co to siedzi w lesie,  
To aniołek z darami do dzieci przylata,  
— Mamuniu, mnie serduszek tak dziwnie kołata,  
Czy to Nowy rok idzie? — Halinka spytała,  
I stanęła przy mamie, i w górę spojrzała.  
— Idzie rok nowy — idzie — mama znów do dzieci:  
— Niechaj dzień każdy dla was z pożytkiem przeleci;  
Uczcie się jak żyć trzeba — jakto kochać ludzi,  
Jakto trzeba pracować, niechaj się obudzi  
W sercach waszych serdeczna miłość dla współbraci,  
Godziny z dnia każdego niech żadne nie straci.  
Kochajcie to, co piękne, ziemię, łąki, gaje,  
I to światło, co słońko ziemi naszej daje.  
Podzielcie swój kęs chleba z tymi, co są głodni,  
A kiedy czyniąc dobrze staniecie się godni,



Że ów gołąbek biały, co tam w górze lata,  
Z końcem roku do waszych serc znów zakolata,  
I spłynie ku wam z nieba jasny promyk Boży,  
Co wam drogę do cnoty i szczęścia otworzy.

Z. M.



## PIERWSZA ZIMA WIEWIÓRKI.

— Co się to stało? — mówiła do siebie właściwym sobie językiem młoda wiewiórka, siedząc na sośnie w lesie i przecierając oczy puszystym swoim ogonkiem. Wczoraj kiedy szłam spać drzewa i pola zieleniły się jeszcze, a dziś pokryte białym delikatnym futerkiem. Gdyby tu zjawiała się gadatliwa wrona, dowiedziałabym się od niej przyczyny tej nagłej zmiany, nie chcę pytać o to drugiej wiewiórki bo gotowe wysmiewać się z niewiadomości mojej.

Ale tymczasem głód zaczął dokuczać małej mieszkance leśnej, oglądała się dokoła za pożywieniem ale najdrobniejszego ziarneczka nigdzie dojrzeć nie mogła, a nie pamiętała gdzie matka złożyła nagromadzone przez siebie na zimę zapasy, zaczęła więc głośnie na los swój zawodzić skargi. W tem posłyszała krakanie wrony, która rozradowana widokiem śniegu pokrywającego całą okolicę, usiadła na sąsiedniej gałęzi.

— Wszak ślicznie światu w tej białej sukience? —



odezwała się do wiewiórki, ty go pierwszy raz tak przystrójonym widzisz, bo to pierwsza zima w życiu twojem.

Wiewiórka jednak nie zdawała się być zachwyconą owym zachwalonym widokiem zimy.

— Jak to długo potrwa? — pytała z niepokojem, czem się przez ten czas żywić będziemy?

— Kto to wiedzieć może! — odparła wrona — śnieg czasem ginie po dniach kilku, a czasem leży kilka tygodni. To cię jednak straszyć nie powinno, zima cięzsza dla nas ptaków, żyjących nieogłędnie z dnia na dzień, niżeli dla was wiewiórek, które przezornie zbieracie zapasy na przyszłość.

— Tak robią starsze — zauważyła smutnie wiewiórka, ale my młode nie pamiętamy o tem, ja także nie nie przysposobiłam na zimę i głód mi dokucza.

— Mogłabym cię zaprowadzić do sąsiedniej wioski, gdzie w resztkach, wyrzucanych z kuchni znajduję często pokarm — rzekła wrona — ale ty nie potrafisz jak ja fruwać po śniegu, a nadto w pobliżu mieszkań ludzkich groziłoby ci różnego rodzaju niebezpieczeństwa, mogliby cię zadusić.

— Odważę się na wszystko — zawołała niedoświadczona wiewiórka — jestem młoda i umiem zwinnie uciekać, a najstraszniejszy nieprzyjaciół nie może być gorszym od szarpiącego wnętrzości głodu.

I wiewiórka pociągnęła śmiało za swoją skrzydlatą przewodniczką.

— Mamo! — wołało jedno z dzieci stojąc przy oknie i rzucając przez otwarty lufcik zziębłym ptaszynom okruszki chleba, śliczna mała wiewiórka usiadła na framudze oka i cała drży z zimna. Chciałabym ją zwabić do pokoju ale pewnie nie da przysunąć się do siebie.

— Biedne stworzonko musi być bardzo zgłodniałe skoro ośmieliło się zbliżyć do mieszkań ludzkich — zauważyła matka.

— Czy mogę jej dać chleba i ciasteczka? — pytała dziewczynka.

— Dodaj do tego jeszcze kilka orzeszków, stanowiących dla niej ulubione pożywienie — rzekła matka.

W ten sposób wiewiórka miała wspaniałą ucztę, składającą się z chleba, okruszyn ciastek i orzechów, a ośmielona przyjaznem z sobą obejściem, cały czas poobiedni do wieczora spędziła na znoszeniu rzuconych przez dzieci orzechów w wydrążenie drzewa stojącego opodal w ogrodzie; doświadczony głód bowiem nauczył ją przezorności i myślała o nagromadzeniu zapasów na jutrzejsze śniadanie. Ale w nocy silniejszy jeszcze mróz schwycił i nazajutrz rano ogrodnik przyniósł dzieciom biedną wiewiórkę znaną pod drzewem zmarzniętą, sztywną, jakby bez życia.

Dzieci z wielkim żalem pobiegły do matki.

— Może jeszcze nie przemarzła zupełnie, może będzie można ją uratować — pocieszała matka — połóżcie ją w ciepło i zostawcie w spokoju.

Jakoż rzeczywiście, wiewiórka leżąc w koszyku przy piecu po jakimś czasie otworzyła oczy, a choć długo nie mogła poruszać zeszywniałych członków, przed wieczorem z wielkiem zadowoleniem dzieci, wypija trochę mleka.

— Teraz przecież nie możemy jej wypuszczać na takie zimno żeby drugi raz na dobre zmarzła — tłomaczyła starsza dziewczynka,

Przyniesiono więc dużą klatkę i w niej wiewiórka spędziła resztę zimy, ale choć jej było ciepło i wygodnie, choć nie zabrakło nigdy pożywienia, tęskniła jednak za swobodą jaką używała w lesie. To też w pogodny, słoneczny dzień marcowy dzieci wyniosły ją do ogrodu, i po czułem pożegnaniu, pusiły na wolność. W jednej chwili wiewiórka była już na drzewie i niebawem znalazła się w lesie, gdzie przed znajomą swoją wroną i innymi towarzyszkami wystawiała dobre serduszka grzecznych dzieci, które nie tylko nie dokuczają małym zwierzątkom, ale im niosą pomoc w potrzebie, nie pozbawiając ich, tak drogiej dla wszystkich żyjących istot, wolności.

## Gołębek Bożenny.

### Przyjaciele.

Od czasu kiedy napad Tatarów za Bolesława Wstydliwego (1239 1241) zniszczył ziemie polskie i wyludnił kraj do tego stopnia, iż poszło w przysłowie, że trawa nie rośnie, kędy przeszła stopa tatarska, żadna jeńców i łupów dzicz mongolska, często zapuszczała zagony swoje zwłaszcza w urodzajne pograniczne strony Ukrainy i Podola nad Dniestrem. Skoro tylko ukazywały się tam hordy tatarskie, lud przestraszony uciekał w lasy, a kto mógł chronił się do obronnych zamków czyli grodów, wystawianych przez zamożnych panów, tak dla obrony przeciw najeźdźcom, jak dla poskromienia zbójceckich włóczągów, ciągnących tu dla grabieży ze wschodu i południa. W owych grodach utrzymywano pocztę zbrojnych ludzi, których obowiązkiem było stawać na pierwsze wezwanie do walki z nieprzyjacielem.

W jednym z takich zamków wzniesionym na Pobereżu, opodal ziemi zajętej przez Tatarów, w chwili, kiedy zaczynamy opowieść naszą, panował ruch i zgiełk niezwykły; właściciel jego pan Ostrobrodzki na Ostrobrzegu z hufcem swoim powrócił właśnie z wojennej przeciw najeźdźcom tatarskim wyprawy. Żołnierze, strudzeni pogonią za pokonanym wrogiem, zsiadali z koni, okryci krwią i pyłem, opowiadali gromadzącym się na ich powitanie ludziom szczegóły doznanych przygód. Chociaż jednak zdołali odbić znaczną liczbę uprawdzanych jeńców i odebrać część łupów, oblicze pana zamku było blade i posępne, widocznie ciężka troska dolegała mu na sercu, a lubo kochająca żona witała go radośnie, lubo dziesięcioletnia córka, jasnowłosa Bożenna, gorącemi pocałunkami okrywała jego dłonie, przyciskając je do piersi rzekł smutnym głosem:

— Chodźcie za mną, oznajmić wam muszę wieść żałobną.

Weszli do obszernej komnaty, gdzie na półkach dokoła ścian świeciły srebrne dzbany i puławy, pośrodku stał duży stół dębowy, a drugi obok ławy, nakryte kościami świadczyły, że gościnni gospodarze w czasach pomyślności i spokoju, zwykli tu podejmować liczne



zastępy przyjaciół i znajomych. Mimo łagodnego na dworze powietrza paliły się na kominie duże kłody drzewa, wszedłszy tam pani Ostrobrodzka zdjęła z męża ciężką zbroję i... usiadłszy przy nim prosiła, aby jej opowiedział strapienie swoje. Pan Ostrobrodzki ujął dłoń żony, położył drugą rękę na złotowłosej głowce Bożenki i rzekł z tłumionem westchnieniem.

— Poniosłem ciężką stratę, najdroższy, najwierniejszy mój przyjaciel zginął z ręki mściwego Tatarzyna. Zalitowski z Kalinówki nie żyje!

— Co mówisz! — zawołała pani Ostrobrodzka, z żalu załamując ręce — zginął mąż Hanny!

— Tak jest niestety! — odparł pan O. usiłując powstrzymać łzy ciskające się do oczu na wspomnienie zmarłego przyjaciela.

— Jutro wracam na jego pogrzeb do Kalinówki, ale pierwszej potrzebowałem naradzić się z tobą, jak przyjąć z pomocą nieszczęśliwej wdowie i sierocie, które jednocześnie utraciły najlepszego opiekuna i całe mienie swoje.

— Powiedz nam, powiedz ojcie, jak się to stało? — pytała z płaczem Bożenna.

— Smutna to opowieść dziewczeczko — mówił pan Ostrobrodzki, ale skoro jesteś córką kresowego żołnierza, którego obowiązkiem za broń chwycić jak tylko obrońcy kraju tego wymaga należy ci się zawczasu oswoić z myślą niebezpieczeństwa, na jakie często narażani być musimy i uczyć się nieść pomoc drugim w niedoli. A ciężkie zaiste nieszczęście które teraz z woli Boga spadło na żonę i córkę zmarłego Jędrzeja!

Żal pana Ostrobrodzkiego po poległym towarzyszu broni nie mógł dziwić nikogo; od najdawniejszych czasów najserdeczniejsza przyjaźń łączyła pana Jana z młodym Zalitowskim, jakkolwiek pierwszy urodził się synem magnata w bogatym zamku, a drugi w ubogiej szlacheckiej zagrodzie; siedząc obok siebie na ławie szkolnej pokochali się jak bracia. Jędrzej bystrzejszy był do nauki, Jan silniejszy do bójki; Zalitowski odrabiał za Ostrobrodzkiego trudniejsze zadania, pilnując, iżby nie zasłużył na nagany nauczycieli, Ostrobrodzki strzegł przyjaciela od złośliwych zaczepk i napaści swarliwych kolegów i nie jednego oberwał guza broniąc go od dokuczliwych prześladowań szkolnych psotników. Gdy dorosli i osiedli na ojczystym zagonie, kilkomiłowa przestrzeń między Ostrobrzegiem i Kalinówką nie stanęła im na przeszkodzie w dzieleniu wspólnej złości i dobrej doli. Razem przyjęli chrzest rycerski, stojąc obok siebie w pierwszej walce z Tatarami, jednocześnie pochowali sędziwych rodziców i jednocześnie prawie stanęli na ślubnym kobiercu. Jan znalazłszy w swojej Kachnie najlepszą i najwierniejszą towarzyszkę, Jędrzej w Hannie natrafił również na kobietę cnotliwą i pełną rzadkich zalet. Bóg jakby błogosławiąc tym związkom szczerą przyjaźń, obdarzył ich w jednym czasie prawie córkami mającemi stać się pociechą rodzicielską w dalszych kolejach życia. Czarnobrewa Ludmiła Zalitowska kilka miesięcy zaledwie była starszą od jasnowłosej Bożenki.

— Dziś biedna sierotka płacze nad zwłokami wydartego jej przedwcześnie ojca — mówił z głębokim współczuciem pan Ostrobrodzki.

— Przywieź ją do nas ojcie jak najprędzej — prosiła Bożenna ze łzami, podzielę z nią wszystko co posiadam, będę ją pocieszać, rozweselać, będziemy się razem uczyły i bawiły.

— Odgadłaś zamiary moje dziewczeczko — rzekł pan Ostrobrodzki spoglądając, z zadowoleniem na córkę. O tem właśnie chciałem pomówić z twoją matką. Nieszczęśliwa Hanna i jej córka nie tylko utraciły najlepszego ojca i męża, ale w obecnej chwili wystawione są na przykry niedostatek, nie mając nawet zabezpieczonego dachu nad głową. Dom ich spalony, pola, stratowane, majątność cała zagrabiona przez dzikich Tatarów.

— W jaki sposób spadło na nie to nieszczęście? — zagadnęła pani Ostrobrodzka.

— Przed tygodniem, jak wiecie, otrzymałem wiadomość o napadzie na naszą okolicę licznego oddziału pohanów. Zebrałem coby prędzej zbrojną moją drużynę i ruszyłem na ich spotkanie, ufając, że Bóg wesprze słabe siły nasze i nie dopuści, iżby nieprzyjaciele krzyża odnieśli zwycięstwo nad rycerzami, broniącymi swoich siedzib i wiary Chrystusa. Szczupły mój zastęp żołnierzy powiększała po drodze łącząca się z nami szlachta, gotowa zawsze nieść życie w ofierze w walce z najeźdźcami mongolskimi. Jędrzej stanął w pierwszych w szeregach. Dopędziliśmy nieprzyjaciela o kilka mil stąd zaledwie, w stronie między Dniestrem a Bohem. Nie będą wam opowiadał szczegółów walki; dla tkliwego, kobiecego serca przykry obraz stanowią wojenne zapasy, kiedy człowiek, zapominając o uczuciu miłości bliźniego, niby drażniące zwierze, żądne krwi wroga, szerzy dokoła mord i zniszczenie. Dość wam powiedzieć, że dzięki opiece Boga, który nie opuszcza walczących w imię dobrej sprawy, zdołaliśmy zmusić dwa razy liczniejszego od nas nieprzyjaciela do stoczenia bitwy w niekorzystnych dla niego warunkach, a zajmując lepsze od niego stanowisko, rozgromiliśmy zupełnie Tatarów, odbierając część łupów i znaczną liczbę uprowadzanych do niewoli jeńców. Pogaństwo poszło w rozsypkę, my zaś czas jakiś goniliśmy za uciekającymi, chcąc odbić więcej jeszcze niewolników. Jędrzej, uniesiony wojennym zapałem, pędził na przodzie; spostrzegłszy, że zbyt daleko nas wyprzedza i, że może znaleźć się sam jeden odcięty od swoich wśród tłuszczy tatarskiej, wołałem na niego by powracał do nas spiesząc.

Posłuszny rozkazowi wodza, a jednocześnie uległy radzie przyjaciela już skręcał ku nam konia, gdy naraz usłyszał żałośnie wołanie:

— Panoczku, ratujcie nieszczęśliwego!

Obejrzał się za siebie i ujrzał młodego chłopca, który trzymany przemocą na kulbace przez Tatara, wyciągał błagalnie ku niemu ręce. Jerzy zrozumiał, że nieszczęśliwe to pacholę, porwane przez pogan, szuka u niego ratunku. W szlachetnym sercu przyjaciela mego litość górę wzięła znów nad rozumą; poskoczył do Tatarzyna, skrzyżował miecz z pohanem krew trysła, a chłopak oswobodzony zawisł z wdzięcznością u nóg swego zbawcy. Jędrzej posadził go przy sobie na siodle i spał konia ostrogą. Już zdawało się, że wszystko pomyślnie się zakończy, już kilkadziesiąt kroków zaledwie dzieliło ich od naszych szeregów, gdy strzała wypuszczona przez jednego z mści-